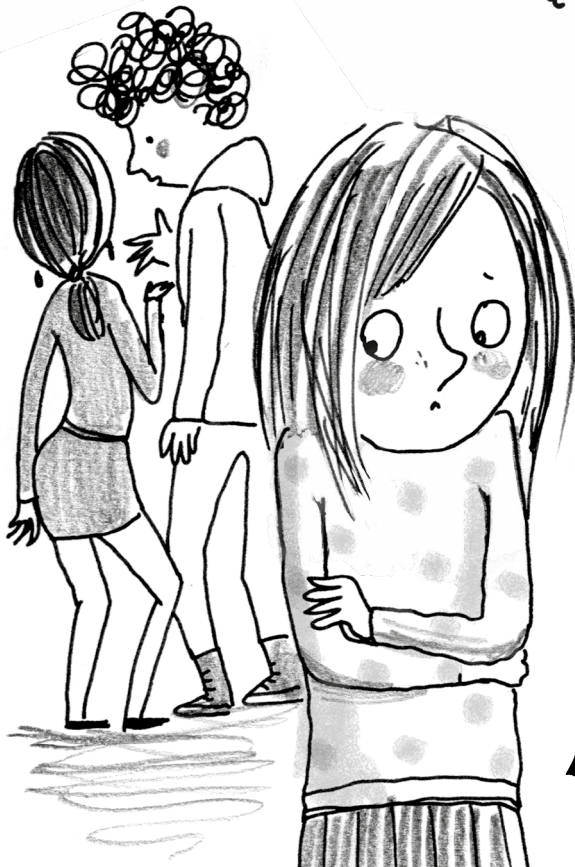


# Pięć czarów i cud

Liliana  
Bardijewska

RYUNKI  
KASIA  
KOŁODZIEJ



**Liliana Bardijewska**  
**Pięć czarów i cud**

© by Liliana Bardijewska  
© by Wydawnictwo Literatura

Okladka i ilustracje:  
Katarzyna Kołodziej

Korekta: Lidia Kowalczyk,  
Joanna Pijewska

**Wydanie I**

**ISBN 978-83-7672-465-2**

Wydawnictwo **Literatura**, Łódź 2016  
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41  
handlowy@wyd-literatura.com.pl  
tel. (42) 630 23 81  
faks (42) 632 30 24  
www.wyd-literatura.com.pl

# CZAT Pierwszy

## KOCIE SZTUCZKI

- o *Nienawidzę dziewczyn! Nigdy nie potrafią dochować tajemnicy. Zawsze wszystko wygadają! A do tego wyśmieją! A najgorsza jest moja siostra! Dlaczego ja nie mam brata jak Patryk? Albo psa jak Damian? Oni nie myszkaliby po moich szufladach i nie czytaliby mojego dziennika. To potrafi tylko siostrzyca! Smarkata żmijka!*

- o *Jak się chłopaki dowiedzą, że dziewczyny zwęchały naszą tajemnicę, w życiu mi nie darują! Ale taka jest prawda. Nasze Tajne Sprzysiężenie Niezwyciężonych przestało być taj...*

– Maks, wyrzuć śmieci – przerwała mi w pół słowa mama.

Byłem wściekły na Zuzkę jak sto szatanów. Miałem ochotę rozszarpać ją na sto kawałków. Ale musiałem to odłożyć na później. Teraz – śmieci, żeby uspokoić mamę, i drugie tajne spotkanie naszego Tajnego Sprzysiężenia, które przez Zuzkę przestało być tajne. Pierwsze, założycielskie – jak lubił je nazywać Patryk – odbyło się w zeszłym tygodniu. Dziś miało być programowe. To też wymyślił Patryk, jak i całe Sprzysiężenie. Nie do końca wiedziałem, co to znaczy. Damian też nie do końca, ale wystarczało nam, że Patryk wie. W końcu miał ojca prawnika.

Kiedy przyszedłem, chłopaki już czekały przy śmietniku.

– Dobry kamuflaż – pochwalił mnie Patryk, widząc w moim ręku worek ze śmieciami.

Mruknałem coś niewyraźnie, przemilczając rolę mamy w tym kamuflażu. Cisnąłem worek do śmietnika i mogliśmy zaczynać. Patryk zrobił bardzo uroczystą minę, a my z Damianem jeszcze bardziej uroczyste, żeby nie wyszło na to, że czegoś nie rozumiemy.

– Czy zgromadziliśmy się już wszyscy? – zapytał na początek, a kiedy obaj popatrzyliśmy na niego jak na UFO, dodał: – Musiałem zapytać ze względów proceduralnych.

Spojrzałem kątem oka na Damiana i pokiwałem ze zrozumieniem głową, zastanawiając się, co to za jakieś względy. Zerkając na mnie, Damian też pokiwał, bo w sprawie trudnych wyrazów mieliśmy do Patryka całkowite zaufanie. Całkowicie zresztą na wyrost, jak się okazało już wkrótce. Tymczasem Patryk ciągnął dalej, raz po raz zaglądając do wymiętolonej kartki, którą wygrzebał z kieszeni.

– Witam wszystkich sprzysiężonych. Nasze zgromadzenie ma na celu zwerbalizowanie deklaracji programowej, która nakreśli strategiczne priorytety, będące kontynu...



Tutaj Patryk potknął się o własny język, co natychmiast wykorzystał Damian, wchodząc mu w słowo:

– Gadaj wreszcie, o co chodzi, albo idę do domu – powiedział z właściwą sobie prostotą, która zawsze budziła mój szacunek.

– Właśnie – poparłem go jednogłośnie, już wyobrażając sobie piekło, jakie się za chwilę rozpęta.

Tymczasem Patryk, o dziwo, tylko mrugnął do nas, zmiął kartkę i z wyraźną ulgą wyrzucił ją do śmietnika.

– Koniec części oficjalnej – zamknął temat. – A sprawa wygląda tak, że albo oni nam dokopią, albo my im.

Teraz już wszystko było jasne. Trzeba było tak od początku!

Wszyscy trzech graliśmy w nogę w szkolnej drużynie i za miesiąc mieliśmy mecz ostatniej szansy z Czerwonymi Diabłami – zespołem drugiej podstawówki z naszej dzielnicy. Oczy całej dzielnicy, ba, całego miasta, skierowane były właśnie na nas. Bo to my wylosowaliśmy tytuł reprezentacji Polski! Na własnym boisku dostaliśmy od Czerwonych Diabłów prawdziwe lanie. I w rewanżu będziemy musieli dokonać cudów, żeby Polska wyszła z dzielnicy i mogła powalczyć

o Puchar Burmistrza. Nie baliśmy się Anglików z Przylesia ani Niemców z Podgórze, ani nawet Brazylijczyków z Zarzecza. Naszą piętą achillesową byli Belgowie z rodzimego Zacisza! Bo tak prawdę mówiąc – prawdziwym żywiołem jest dla nas woda.

Gdyby to była piłka wodna... Na basenie nikt nam nie podskoczy, nawet sam diabeł morski! Ale na łądzie, czyli na murawie, a ściślej – na klepisku, nasze szanse mały zastraszająco.

– Tylko cud może nas uratować – westchnąłem, pamiętając te trzy atomowe gole, które mi wkopali.

– Nie cud, tylko czar! – zakrzyknął Patryk, czym znowu nas wprowadził w zdumienie. – Pamiętacie pierwszy mecz Harry’ego Pottera?

– Ale on miał magiczną miotłę, a i tak się napocił – wzruszył ramionami Damian, ale Patryk najwyraźniej wszystko przewidział.

– Miał nie tylko miotłę. Miał też czarodziejską sowę! – zawołał triumfalnie i już spokojniej wyłożył nam swój plan.

Według niego wystarczyło tylko znaleźć odpowiednie czarodziejskie zwierzę, a ono już będzie wiedziało, co zrobić, żebyśmy wygrali.



– I to wcale nie musi być sowa – zastrzegł, czym bardzo mnie uspokoił, bo sowę widziałem tylko raz. W telewizji.

Zaczęliśmy się zastanawiać, jakie zwierzęta mogą być najbardziej czarodziejskie. Na wstępie skreśliliśmy żółwie, jako zbyt powolne i mało komunikatywne. Za nimi poszły węże – ze zrozumiałych względów. Czczone w Indiach małpy wydały nam się za mało poważne do tak poważnej sprawy jak obrona barw narodowych. Święte krowy – za mało szlachetne.

– Ibis! – wymyślił wreszcie Damian, który pasjonował się historią starożytnego Egiptu.

Ale gdzie szukać ibisa – gdzie Rzym, gdzie Krym, a gdzie Egipt... Też skreśliliśmy.

– Musimy myśleć racjonalnie – podsumował naszą dyskusję Patryk, a widząc złe spojrzenie Damiana, natychmiast się poprawił: – Czyli zdroworozsądkowo. Który z was ma jakieś zwierzę w domu?

– Jamnik i mrówki faraona – zameldował krótko Damian.

Pies, najlepszy przyjaciel człowieka, wydał nam się jednak mało magiczny. Zwłaszcza jamnik o wdzięcznym imieniu Kabanos...



– Jamnik nie da rady – orzekliśmy zgodnie.

Kandydatury mrówek nawet nie rozpatrywaliśmy. Mrówki dobre są do pracy, ale nie do czarów. A nam potrzebny był czar! Czyli że zwierzęta Damiana odpadały. Patryk miał tylko brata, bo jego ojciec prawnik był zdania, że wolności zwierząt nie wolno ograniczać ani klatką, ani akwarium, ani terrarium, ani nawet czterema ścianami największego pokoju. Lubił za to wolne ptaki i każdej zimy wystawiał na parapet doskonale zaopatrzonego karmnika, do którego zlatywały się wróble i sikorki z całej dzielnicy.

– Co takie ptaszyny poradzą przeciwko Czerwonym Diabłom... – chłopaki machnęły ręką i popatrzyły z nadzieją na mnie.

Ale i ja nie miałem za bardzo czym się pochwalić. Mamy, co prawda, Kwiczola, zwanego złośliwie przez Zuzkę „morskim wieprzkiem”, który kwiczy jak zarzynany z byle powodu. Ale w czarodziejskie przymioty morskiej świnki nikt z nas nie wierzył.

– Zuzka ma złotą rybkę! – oświeciło mnie nagle, ale Patryk natychmiast mnie zgasił.

– Złota rybka spełnia tylko trzy życzenia, a my musimy wbić najmarniej cztery gole – przypomniał.

– Poza tym to dziewczynska złota rybka. Na pewno nie zna się na piłce – dodał Damian i musieliśmy się z nim zgodzić. Dziewczyny w ogóle na niczym się nie znają, a najbardziej się nie znają na piłce!

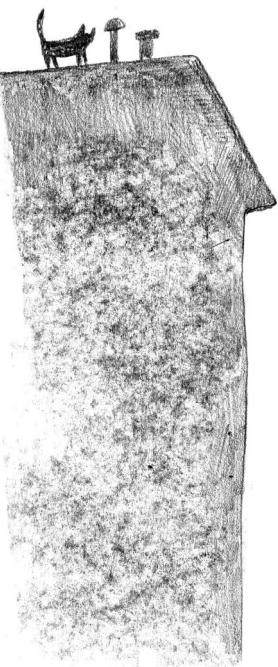
Więcej zwierząt nie mieliśmy. Czyli że racjonalnie się nie dało. Zaczęliśmy więc myśleć nieracjonalnie. Marzyły nam się gryfy, jednorożce, tury, dinozaury, lwy, a nawet smoki. Bo przecież są i dobre! Taki smok z łatwością rozgromiłby Czerwone Diabły!

– Patryk, kolacja! – sprowadził nas na ziemię głos mamy Patryka.

Spojrzelśmy na siebie spłoszeni – czyli że nic nas nie uratuje?...

– Uważam nasze dzisiejsze zgromadzenie za zakończ... – zaczął z grobową miną Patryk, ale nagle zamilkł w pół słowa ze wzrokiem utkwionym gdzieś nad naszymi głowami.

Spojrzelśmy w górę i puknęliśmy się w czoło – że też wcześniej na to nie wpadliśmy! Po murku majestatycznie spacerował kot.



– On, on nam pomoże! – wrzasnął dziko Damian, rzucając się w kierunku kota, ale ten był szybszy. Dał susa na drugą stronę murku i tyleśmy go widzieli.

– E, to zwykły dachowiec – machnął ręką Patryk.  
– Nasz musi być czarny!

Wiadomo, że czarny, o tym wie każda czarownica.

– Ale skąd takiego wziąć? – zasepił się Damian.

– Phi, u nas w piwnicy jest tego towaru na pęczki: białe, czarne, czarno-białe, biało-czarne... – pochwalilem się, na swoje nieszczęście, co błyskawicznie wykorzystał Patryk.

– Maks załatwi kota! – zarządził głosem nieznoszącym sprzeciwu, a dla porządku zapytał: – Kto jest za?

Nim zdążyłem otworzyć usta, Damian zgodził się za nas obu.

– Masz na to tydzień. A my zajmiemy się całą resztą – rzucił na odchodnym Patryk i poleciał na kolację, bo jego mama nie lubiła powtarzać dwa razy.

– Oki – kiwnął głową Damian i też ulotnił się w mgnieniu oka.

Cóż było robić. I ja powlokłem się do domu, zachodząc w głowę, co Patryk miał na myśli, mówiąc „cała reszta”.



– Gdzieś ty się podziewał? Na wysypisku byłeś?!  
– powitał mnie naburmuszony głos mamy.

– Teraz już wiesz, dlaczego nienawidzę chłopaków  
– uśmiechnęła się do niej najbardziej anielskim ze swoich uśmiechów moja siostra i zamknęła się w pokoju.

Głowę dam, że znowu czytała mój dziennik! Szpieguska! Ale niech no tylko zwerbuję tego kota! Już ja jej pokażę!

Następnego ranka poleciałem do piwnicy jeszcze przed szkołą.

– Kici! Kici! – zdierałem sobie gardło, wycierając piwniczne kurze szkolnym mundurkiem.

Wszystko na nic. Koty wiały przede mną jak przed jamnikiem Damiana. Od czasu do czasu migał mi, co prawda, w oddali jakiś ogon, ale zanim dobiegłem do niego z moim „kici, kici”, już nie było po nim śladu. A mówią, że dobre słowo zbliża! Mnie do kota nie zbliżyło. Postanowiłem działać bardziej zdecydowanie – przez żołądek do serca. Mleko! Śmignąłem do domu i nalałem pół kartonu do ulubionej miseczki Zuzki w zielone myszki. Gdyby to zobaczyła... Na szczęście poleciała już gdzieś z dziewczynami. Postawiłem miseczkę w zacisznym kąciaku i pognałem do szkoły. To powinno podziałać!

Kiedy po lekcjach zajrzałem do piwnicy, miseczka była wylizana do czysta. Bingo! Nalałem drugie pół kartonu i przyczaiłem się za rogiem. Najpierw nieśmiało wychylił się jeden kot, za nim przybiegł drugi, a potem jeszcze dwa. Ale wszystkie białe albo pręgowane! Wypiły, popatrzyły na mnie pytająco, a widząc moje rozczarowanie, ulotniły się równie bezszelestnie, jak się pojawiły.

Widać mleko lubią tylko białe. A co lubią czarne? Nie zdążyłem tego przemyśleć, bo do piwnicy weszła pani Maryjka, nasza sąsiadka.

– Maksiu, ty też karmisz kotki? – zdziwiła się i pogłaskała mnie po głowie, czego nienawidzę.

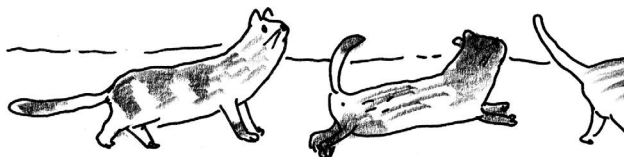
Zniosłem to jednak po męsku, bo musiałem zasięgnąć języka.

– A co kotki jeszcze lubią oprócz mleka? – zapytałem słodko.

– Rybki, zwłaszcza szprotki – zdradziła mi koci sekret pani Maryjka, nawet nie domyślając się, że ratuje tym samym honor polskiej reprezentacji. – Jeśli interesujesz się kotami, zajdź któregoś dnia do mnie do biblioteki. Znajdę ci coś ciekawego – dodała z bibliotekarskiego nawyku.

Ale ja już jej nie słyszałem. W trzech susach byłem na górze i przetrząsałem lodówkę w poszukiwaniu konserw. Niestety – co było do przewidzenia – nie znalazłem nawet ucha od śledzia. Mama uznawała tylko ryby świeże i wędzone. „Konserwy są niezdrowe” – przestrzegala zawsze. Toteż kiedy tacie zdarzało się kupić jakieś sardynki lub makrelę w puszcze, zajadaliśmy się nimi we dwóch po kryjomu, skrzętnie zacierając ślady przestępstwa. Męskie tajemnice!

– Gdzie moja miska? – Zuzka popatrzyła na mnie podejrzliwie, ale zachowałem kamienny spokój.



– Tam, gdzie ją zostawiłaś, bałaganiaro! Jak myślisz, czy koty lubią złote rybki?... – mlasnąłem prowokacyjnie i, nie czekając na odpowiedź, wymaszerowałem z kuchni.

Nie na długo jednak, bo za chwilę przywołał mnie głos mamy:

– Maks, skocz po mleko, bo nie ma już ani kropli.

– Rano był pełny karton... – Zuzka prześwidrowała mnie na wylot swoim oczkiem żmii, ale i to wytrzymałem z kamienną twarzą.

– Oki – mruknąłem i pomknąłem do sklepu.

Rybnego. Nakupiłem szprotek chyba za pół tygodniówki! Śmierziałem wędzarnią na całą dzielnicę.

